Rok 1898. Lwów, dnia 12. września. Nr. 36.

ECHO LITERACKIE

Dodatek tygodniowy „Dziennika Polskiego“

Redaktor: Izydor Kuncewicz.

FR. MIRANDOLLA

W SAMOTNI.

(Poezje-prozą).

Symbole.

Słowa usnęły jak gołębie zmęczone, w gniazdach. Chcę być jastrzębiem, chcę je zerwać ze snu, spłoszyć, aby latały i drżąc mówiły rzeczy nowe, nieznane.

*

Nie dziwcie się dźwiękom, co się rozbijają o ściany waszych piersi i padają martwe, niezrozumiane, ale dziwcie się, że macie ganitowe piersi, jak fortece średniowieczne, a wewnątrz mrok i pajęczynę.

*

Bądźmy jak las, co szumi od każdego wiatru! Bądźmy lasem osik drżących!

*

W wielkim Panteonie stoją białe pomniki, martwe, wielkie. A choć czytasz, kto pod każdym leży, nie ujrzysz nigdy umarłych, nie zadrzysz przed nimi. Cisza grobu. Słowa wasze to kamienie, zapadłe nad zmarłymi. To pamiątki.

*

O! kiedyż nadleci słowo — orzeł! Chmura orłów! Kiedyż będzie dużo ruchu i wrzawy w Panteonie duszy?...

W Samotni.

W samotni rodzą się rzeczy wielkie, albo opłakują rzeczy smutne. Szczęśliwy, do kogo samotność wyciąga ramiona jak kochanka, jak matka. Szczęśliwy! Ale są inni, których ramiona samotności oplatają jak węże i dławią, a potem, nieprzytomnym wysysają z serca resztki nadziei odwagi i siły.

*

Jest samotnia grzeszna, jak w głąb ciemnego boru zapadnięty lupanar. Miękka jak uścisk, buchająca lubieżną falą — jak las zwrotnikowy w żarze południa. Tam, dobrze spać i śnić, ale budzić się straszno, okropnie — jak po haszyszu.

*

Inna jest jak święty gaj. Na zielonej polanie ołtarz. Święty ogień płonie, a szeregi dziewic-kapłanek dorzucają cedrowych gałęzi i śpiewają wielkiemu, potężnemu, niewidzialnemu Bogu.

*

A inna jeszcze, jest jak stara, rozbita wiatrem chałupa, na białej, równej, strasznej pustyni śnieżnej. Opuszczone schronisko, gdzieś daleko... daleko... gdzie życie nie kwitnie... gdzie tylko raz zaszła mała garść ludzi i wymarła.

Książka.

Puszcza się książkę w świat. Jest to jak list do nieznanego, dalekiego, przeczuwanego przyjaciela, któremu inaczej nie możnaby nigdy otworzyć swojej duszy, swojej ciasnej o krętych krużgankach duszy, w którą przyjaciele obecni zaglądają ze śmiechem, jak dzieci w studnię i — cofają zaraz głowy.

*

Jedne książki są jak wieka trumien. Od pierwszej kartki czujesz, że to ostatnia książka. Jak liść jesienny mieni się miedzianemi barwy, szemrze jak wiatr w krzewach, na które upadł już zimny szron. A choć słoneczne złote nitki jeszcze zamigocą, choć jakiś pęk róż późnych ciepłym oddechem cię owionie, nie wierz! Patrz, już nie ma jaskółek! Poleciały. Już nadchodzi zima.

*

Są książki, co pachną jak las na wiosnę. Są książki takie jak głąb podziemia. Są jeszcze inne, co chrzęszczą i szumią jak chorągiew pancerna, idąca w bój.

*

Są dzieła jak kolumny o śliskich ścianach, owinięte wstęgami róż suchych, ubrane dołem w szarfy. Dzieła — pamiątki — pomniki sławy. Inne szumią jak morze w tuczy. Widzisz błyski skrzel, czujesz ruchy jakichś ciał śliskich i krętych. Pełno życia, pełno boju! Inquies aeterna.

*

Inne dzieła są jak zmarłe niemowlęta. Siła co je z dna bytu wyrzuciła na świat na życie, zasłabła nagle i chwiejnym krokiem odeszła. Leżą w trumienkach, cicne, z podłożonemi pod głowę skrzydełkami i uśmiechają się przez sen długi, przez sen śmierci do przechodniów.

*

Ostatnie są, jak krzyk mordowanego w lesie. W jednym, ostatnim wysiłku, życie woła o prawa, o te prawa, których już nie ma. Takie są są dzieła skazańców, takie są dzieła ostatnie.

W Serapeum.

(Sen).

U wejścia leżały dwa ciężkie głazy — problematy. Podniosłem je, zważyłem w ręku i... strzaskałem jeden o drugi. I oto usunęła się płyta pokryta hieroglifami, ujrzałem wnętrze.

*

Ujrzałem wnętrze czarne, ciasne i puste, ściany pokryte spisami skarbów, które niegdyś tu były złożone i długie szeregi imion tych wszystkich, co śmierć znaleźli u progu z tęsknoty i głodu. Poczułem, żem wszedł do przybytku mojej duszy, wykutego ramieniem nieznanych miljonów przed wiekami.

*

I spoglądałem na ten grób podziemny z miłością, jak patrzy syn — wygnaniec, kiedy wraca do rodzinnego, rozbitego domu. Oglądadałem proste nisze, podartą mazajkę podłogi, nadwerężone kilofami płyty, jak wierny, który ma słowo co mocniejsze od kilofa, słowo, co służy za wnijście do świątyni. Obejrzałem się. U progu, w ostatnich promieniach słońca, leżały zdruzgotane głazy — dwie zapory, które musiały nawet wybranego powstrzymać... odwaga i nadzieja.

*

I tak usiadłem wśród szczątków mego pustego domu.

Wejście choć otwarte, choć przestronne, zostawiłem bez obrony. Czułem, wiedziałem, że nie ma na ziemi stopy człowieka ani zwierza, coby się nie poparzyła na pyle rozbitych głazów, coby przeszła za mną próg przeklęty.

Pierwszy raz byłem sam i szczęśliwy...

G. VERGA.

TYGRYSICA

Powieść.

(Przekład z włoskiego).

Ciąg dalszy.

— A zatem i panu znana jest ta hisiorja?

— Któż tu we Florencji nie zna jej mniej lub więcej dokładnie! Pani Nata, to niebezpieczna kobieta, naprawdę! Piękna, bardzo piękna i wściekle zwodnicza, ale zakochanego Bayarda może przyprawić o strach. Znalem tego Polaka w Warszawie. Przystojny, dystyngowany młodzieniec, trochę egzaltowany, tak dalece, że skompromitował się i został wysłany na Sybir, gdzie... no, wiesz pan... I w rezultacie dlaczego? I to pan wiesz także. O jakąś drobnostkę miłosną, na którą sobie pozwolił, podczas gdy ona bawiła w Petersburgu, gdzie sądził, iż pozostanie przez pół roku. Hrabina musi posiadać szczególne i bardzo niewygodne pojęcie o wierności mężczyzn! Postawił wszystko na kartę, drapnął, pojechał za nią, aby się jej rzucić do nóg, jednakowoż nie chciała go widzieć i kazała mu przez lokaja wynieść cztery tysiące rubli... Pańskie cygaro źle się pali; weź pan inne, jedno z tych w Szwajcarji fabrykowanych hawańskich, które mi swą wonią zatruwają całe mieszkanie... „Kupiłam pana — pisała do niego — ale nie kochałam pana nigdy. Teraz pana płacę, a uratowana jest miłość i bez plamy". Miłość jest jej jedynem bożyszczem. Z gorączkową zwięzłością rozpaczy napisał do niej, iż w jej oczach odbierze sobie życie, jeżeli mu nie przebaczy. „To jedyny środek, aby nam obojgu przywrócić honor". — odpowiedziała mu ..

Giorgio palił i słuchał roztargniony.

— Co pan mówisz, jest wszystko słusznem, kochany wicehrabio — rzekł w końcu z największym spokojem — ale coś pan czynił, gdyś był zakochany?..

— To, co pan teraz powinieneś uczynić. Nie jestem bohaterem i nie mam bynajmniej pretensji do tego, aby pokonywać siebie samego, albo też innych — rzucam się do odwrotu. Skoro tylko spostrzegę, iż mam zamiar zrobić głupstwo,

natychmiast między mną a głupstwem rozpościeram pewną przestrzeń, stawiam pewną przeszkodę. Najlepiej jest wsunąć w takim wypadku kobietę, czyli innemi słowy wypędzić czarta djabłem. Na morzu dostaje się coprawda choroby morskiej, w górach tęsknoty za miejscem rodzinnem, granica wjeżdża człowiekowi nieraz do żołądka, ale odwrót konieczny jest za każdą cenę, nawet za cenę choroby morskiej i tęsknoty, jeżeli się nie ma innej kobiety pod ręką. Cała kwestja jest kwestją optyki, przyjacielu. Gdy się pan raz znajdziesz z tamtej strony Alp, zaczniesz pan głupstwu, które miałeś zrobić, grać na nosie. Słowem, spodziewam się, iż podróż ta będzie dla pana z wielką korzyścią.

— Dziękuję.

— Przepraszam, kochany La Ferlita, jeżeli paplałem cokolwiek za wiele, ale stało się to w najlepszym zamiarze, możesz pan być o tem przekonany. Mówiłem panu rzeczy, o których wolałbyś pan może nie słyszeć w tej chwili; szczególnie zapewne nie podobało się panu to, co panu opowiadałem o tej historji z Polakiem, w gruncie rzeczy jednak spodziewam się, iż panu to pomoże. Jestto straszna kobieta, mój kochany, z ideałami, które z naszym światem pogodzić się nie dadzą, i, mówmy otwarcie, dziwnie się w nim wydają... Sądzę, iż to panu dopomoże do odjazdu z lekkiem sercem...

— Nie odjeżdżam.

— Jesteś pan szalony!

— Wiem o tem doskonale, ale mimo to nie pojadę.

— Z powodu tych rzeczy, które panu opowiedziałam?

— Być może.

— Kochany przyjacielu, w takim razie, byłem więcej szalony niż ty, że tego nie przewidziałem.

*

Nazajutrz, gdy Nata się tego najmniej spodziewała, przyjechał jej mąż. Mąż i żona dotrzymywali sobie zwykle przez trzy lub cztery miesiące w roku towarzystwa, gdy się spotykali w stolicy. Hrabia po służbie zwykle znajdował się w podróży. Zdumienie swej żony zdawał się przeczuwać i spodziewał go się.

— Wiem, że ci już lepiej — mówił — to też musimy skorzystać z przyjaznej poru roku i powrócić do Petersburga. Wziąłem dwa tygodnie urlopu i przyjechałem, aby mieć przyjemność towarzyszenia ci w podróży..

Hrabia, człowiek w czterdziestym roku życia, był to wysoki blondyn, nad czołem trochę łysy, co czyniło go postarzałym przedwcześnie, jednakowoż w jego powierzchowności, w ruchach i we wszystkiem co robił i mówił, czuć było jakąś wojskową szorstkość, przebijało się coś spokojnego i zdecydowanego, co w połączeniu z jego bladą, trochę przeżytą twarzą wywoływało uczucie, że się stoi wobec człowieka, który wymaga posłuszeństwa; uczucie to jednak łączyło się z pewną nieufnością. Spojrzenie jego było tak zimne i przenikliwe, że wywoływało pewien niepokój.

— Dziękuję... — odparła Nata.

Tego samego wieczora otrzymała tajemniczy liścik, który ukradkiem podsunęła jej garderobiana.

„Twój mąż podejrzywa coś. Bądź ostrożna!“

Tego podejrzenia, jeżeli rzeczywiście miał jakie, nie dawał hrabia wcale poznać po sobie. Cały dzień spędził w galerjach obrazów i muzeach, a gdy wrócił wieczorem do domu, spostrzegł, że przygotowania do podróży są w pełnym toku.

— Kiedy chcesz jechać? — zapytał żonę.

— Choćby jutro; jestem gotowa.

La Ferlita nie wiedział nic o przybyciu hrabiego i czekał jeszcze z pakowaniem swych kufrów.

Następnego wieczora znalazł u siebie list na biurku.

„Miałam nadzieję, że się jeszcze raz zobaczymy, kochany przyjacielu. Gdy rozstaliśmy się niedawno wieczorem, nie wiedziałam ani ja ani pan, że to będzie nasze ostatnie pożegnanie. Cierpiałam wiele... W tej chwili, gdy piszę do pana, przy tym samym stoliku, na którym pan tak często opierałeś rękę, zdaje mi się, że się uduszę. Gdybym mogła umrzeć — zanim odjadę! Przed kilku dniami jeszcze byłeś pan tutaj i siedziałeś na kanapie, przypominasz pan sobie? Oparłeś pan łokieć na poręczy, a mnie serce pękało na myśl, że niezadługo rozłączymy się na wieki. Bywały chwile, których pan nie przeczuwałeś wcale, a w których byłabym pana najchętniej zdusiła w moich objęciach jak zazdrosna tygrysica. Kocham pana! Kocham pana! Teraz, gdy pana już więcej nie zobaczę w życiu, mówię to panu, aby słowa moje wyryły się w sercu pańskiem, tak jak obraz pański wyryty jest w mojem sercu! Widzisz pan, teraz gdy panu powiedziałam wszystko, teraz, gdy mnie już nie zobaczysz więcej, nie zapomnisz o mnie nigdy. Żadna namiętność pańskiej duszy nie będzie mogła kiedykolwiek stać się moją współzawodniczką: miłość, gra, ambicja — wszystkie one bezsilne są w porównaniu ze wspomnieniem o tej, której nie ucałowałeś pan nigdy nawet jednego palca. Widzisz pan, tak chcę być kochaną! Gdybym była pańską kochanką, to stosunek nasz skończyłby się może na tem, że rozstalibyśmy się, nie pożegnawszy się nawet. Z każdym dniem, który przeżylibyśmy razem, bylibyśmy ubożsi o jedną iluzję. Przedmiot mojej miłości musi stać wyżej niż wszystko inne. Podczas długich cierpień, w samotności, przy tych wstrząśnieniach, które mnie czekają, chciałabym ciągle myśleć o panu. Chcę wierzyć, że kochasz pan we mnie coś, co jest wyższem od pana, że będziesz mnie pan szukał wszędzie swemi myślami, nawet gdy umrę. Skazuję pana na to, abyś myślał o mnie, skazuję pana na to, abyś mnie w duchu czcił jak bóstwo, ponieważ pana kocham. Wiesz pan, że pozostaje mi tylko kilka miesięcy do życia — ale w panu chcę żyć dalej. Żegnaj mi, Giorgio! Jedno panu przyrzekam: przyjdę, aby umrzeć w pobliżu pana. Nie zobaczysz mnie pan jednak, gdyż będę miała na tyle siły, aby w cichości oczekiwać na śmierć... Pan będziesz jednak myślał o mnie, wszak prawda? Może powiesz pan w tej chwili: „Jest tu, aby umrzeć!“ Widzisz pan, płaczę, a zapewniam pana, że to nie często się zdarza. Najchętniej płakałabym na pańskich kolanach“...

*

Godzina mijała niepostrzeżenie za godziną i dopiero teraz zauważył Giorgio uderzenia zegarka, stojącego na biurku; płomień świecy migotał wskutek wiatru i dopiero teraz spostrzegł Giorgio, że okno nie było zamknięte. Na ulicy było cicho i pusto, a nad dachami, które w ciemności zlewały się w jakąś gęstą masę, iskrzyły się gwiazdy.

La Ferlita stał przez kilka minut przy oknie zamyślony, bez jasnej świadomości jednak, o czem myśli.

Wszystkie zegary miejskie wybijały godzinę w najrozmaitszych tonach, a od czasu do czasu świst lokomotywy na dworcu Santa Maria Novella przerywał ciszę. Jedyna myśl, która zajęła jego świadomość, była ta, że nigdy nie przypuszczał, iż we Florencji znajduje się tyle zegarów wieżowych. Nareszcie wyszedł i udał się w kierunku Viale Principe Ama-

deo, nie wiedząc sam, dlaczego. Willa wyglądała zupełnie tak samo jak zawsze. Więcej niż raz schwytał się La Ferlita na tem, jak o późnej godzinie przechodził pod temi oknami — teraz przypomniało mu się to znowu — i widział dom takim samym, jak tej nocy, z jego białawą milczącą fasadą, na którą padały cienie drzew i z jego konturami, występującymi z ciemności przy świetle gazowem. Latarnia znajdująca się najbliżej trotoaru oświetlała złocone końce sztachet z jakąś jaskrawością. Na brzegu alei można było widzieć jeszcze ślady jakiegoś powozu, a jedyną nowością była tabliczka, wisząca na sztachetach, która od czasu do czasu poruszała się wskutek wiatru. Na tabliczce znajdował się napis: „Do wynajęcia".

Rozdział VIII.

Od tego czasu upłynęło wiele wody. Ojciec La Ferlita przeniósł się do wieczności, Giorgio ożenił się, a przyjaciele jego byli znowu zaproszeni na uroczystość familijną: na chrzciny pierworodnego.

Goście byli ci sami, te same panie, tylko w innych sukniach, ci sami panowie w tych samych białych krawatach, ta sama teściowa, która z tą samą haftowaną serwetą wchodziła i wychodziła z pokoju młodej matki, ta sama młoda kobieta, piękna, jak wtedy, ale na inny sposób — trochę jeszcze blada, siedziała w wielkim fotelu — i wreszcie ten sam mąż, jeszcze ciagle przystojny i elegancki młody człowiek we fraku i w białym krawacie, który jednak nie przeczuwał, jak szczególnie wyglądał, gdy naiwnie, jakby to nie było nic nadzwyczajnego, obnosił po salonie zwój batystu i koronek i tryumfująco kazał go podziwiać tym, którzy go podziwiać chcieli, jak również tym, którzy to uważali za jakąś niekształtną drobnostkę, wykręcającą się, trzepoczącą, wykrzywiającą twarz i od czasu do czasu wydającą z siebie coś w rodzaju beku.

— Patrzcie tylko! Czy to naprawdę La Ferlita z swym małym synkiem na ręku? — mruczał Crespi, niepoprawny stary kawaler, gdy Giorgio przechodził obok niego.

— No, no, proszę, już ma włosy! — zawołał jakiś usłużny gość, aby zagłuszyć uwagę Crespiego..

— Tak — odparł Giorgio z uśmiechem — jasno blond.

— Wszystkie małe dzieci mają jasne włosy — twierdził Vernetti.

— Nie, jakiż on do ciebie podobny! Wykapany twój portret, twoje czoło, twój nos... patrzcie tylko, czy nie ma nosa Giorgia, co?

— Mnie się zdaje, że on wcale nie ma nosa!

— Szczególna! Jak my komicznie wyglądamy, gdy przychodzimy na świat.

— Mój kochany Crespi — rzekł nareszcie La Ferlita — gdy będziesz miał kiedyś dzieci, będziesz tak samo robił jak ja, przepowiadam ci to, i będziesz się czuł błaznowato szczęśliwym, gdy poczujesz, że twoja latorośl trzepocze ci się na ręku.

— Hm... wierzę, wierzę — odparł Crespi, trzymając ręce w kieszeniach od spodni — to znaczy, gdy będę miał taką latorośl!

W przyległym pokoju bliższe przyjaciółki, a szczególniej matki, otaczały żonę Giorgia i zasypywały ją pieszczotami i dobremi radami. I tutaj niemowlę jak zabawka przechodziło z rąk do rąk. Zobaczywszy żonę na chwilę samą, przystąpił Giorgio do niej, pochylił się nad dzieckiem, które trzymała na łonie, i szepnął jej z uśmiechem kilka słów.

W wielkim, wyłożonym poduszkami fotelu, w słabo oświetlonym pokoju, siedziała biało ubrana młoda kobieta z mizerną, ale szczęściem opromienioną twarzą. Obok niej stał mąż i pochylał się nad nią, szepcąc coś do niej, a ręka jej, biała jak wosk, spoczywała na jego fraku.

To był ten obraz, który widzieli zgromadzeni w salonie jasno oświetlonym: panie, ubrane w koronki i błyszczące djamenty, z obnażonemi ramionami i panowie w czarnych frakach, którzy stali dokoła, brzęcząc, jak komary w ciepły dzień letni popołudniu, obraz, który, jak sądził Crespi, wywierał szczególne wrażenie.

— Na honor — mruczał, zagłębiając znowu ręce w kieszeniach — gdybym miał kiedyś żonę i dzieci, jak Giorgio, to do mego mieszkania sprawię sobie o ile możności jak najwięcej zasuwek.

Panowie, o ile nie musieli bawić pań, zgromadzili się powoli w gabinecie Giorgia, aby palić i rozmawiać o kobietach i polityce.

Falchi kupił wspaniałą klacz, pomimo tego, iż narażał się na niebezpieczeństwo, że mu ją odkupią do remont kawalerji, gdy przyjdzie do wojny, o czem już krążyły pogłoski i pomimo ogromnego cła wchodowego, nałożonego przez państwo.

Bassano tego dnia zyskał ogromną sumę na spekulacji rentowej i sprowadził rozmowę na giełdę, gdy rozmowa zeszła na to, co kosztują kobiety.

Giorgio chodził tu i tam,

— La Ferlita powie nam teraz coś o mamkach — szepnął Crespi do ucha swemu sąsiadowi. — Mam tego dosyć mój kochany, i wolę z paniami rozprawiać o modach.

Ci wyelegantowani panowie, w białych krawatach, wyciągający się po stołach i fotelach z cygaretami w ustach, zaczęli nareszcie mówić o kobietach, nie zważając na to, że w przyległym pokoju znajdowały się panie, którym jeszcze przed pięciu minutami szeptali najczulsze komplimenty do ucha. przyjmując przy wymawianiu każdego kunsztownego frazesu możliwie najwdzięczniejszą postawę.

Każdy wyrażał swoje zdanie, często wszyscy razem jeden przez drugiego. i opisywał kobiety z całą swobodą w najrozmaitszych kolorach i barwach. Gdyby ich kobiety chciały podsłuchiwać pod drzwiami, dowiedziałyby się ładnych rzeczy!

— Kobieta jest najpiękniejszem zwierzęciem stworzenia, ale ma nadto skomplikowane instynkty.

— Crespi traci czas przy baronowoj, nie uważając, że Giulio przybył dziś pierwszym pociągiem.

— Słuchajcie, jestem za emancypacją kobiet. gdyż wtedy będą się one ubiegały o nasze względy, a my będziemy sobie mogli pozwolić na nerwy i kaprysy.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Z POEZJI NOWOCZESNEJ.

(„Królewna z za morza“ — sztuka w 4 aktach Edmunda Rostanda. — Streszczenie).

Słynnego autora głośnej sztuki p. t. „Cyrano de Bergerac“ (nad której przekładem na język polski pracują obecnie Marja Konopnicka i Wł. Zagórski), nie znano u nas do niedawna prawie zupełnie, a i we własnej jego ojczyźnie, dopiero „Cyrano“ otworzył mu na oścież wrota do tryumfów i sławy. Niemniej, od tego czasu, wystawienie każdej jego sztuki budzi wszędzie interes niekłamany. Musi tak być i u nas, zwłaszcza, że dotychczas sztuk Rostanda nie widzieliśmy jeszcze na scenie. Przed niedawnym dopiero czasem (przed kilkunastu dniami zaledwie), wystawiono jedną z nich, a mianowicie „Królewnę z za morza“, na jednej ze scen warszawskich. Nie da się zaprzeczyć, iż nie stoi ona na tej wyżynie artystycznej co „Cyrano“, w każdym jednak razie, ma wszelkie warunki po temu, by duszę inteligentnego widza przenieść z dusznej atmosfery dnia powszedniego w fantastyczną krainę błękitów — poezji i ideału...

Oto treść jej, w najgłównieszych zarysach:

Zasłona się podnosi, jesteśmy na pokładzie statku, ze złamanym do połowy masztem, z podartymi żaglami. Marynarze śpią wśród szczątków podruzgotanej broni i śladów krwi. Walczono tam przez całą noc. Wkrótce świtać zacznie.

To galera Joffroy Rudela, księcia de Blaye, rycerza i trubadura, zakochanego w księżniczce Melisandzie, na wiarę opowiadań pątników, wracających z Antiochji, którzy takie cuda prawili mu o „królewnie z zamorza“, że książę obwołał ją panią swego serca, o niej tylko marzył dla niej tylko rymy składał, a zaś po dwóch latach, chory z tęsknoty, przeczuwając kres swoich dni, zapragnął przed skonem ujrzeć ubóstwiane w marzeniach oblicze.

Płynie więc na „łupinie orzecha“, ze wzrokiem, utkwionym w dal siną ku śnionemu ideałowi; płynie wśród wiernych mu towarzyszów, którzy wszyscy, nie wyłączając marynarzy załogi, rozmiłowali się w zamorskiej królewnie i, zapominają o trudach i głodzie, słuchając pochwał o pięknej nieznajomej, rojąc o włosach jej złotych... Cierpią bez szemrania wszelki niedostatek. bo galera dąży do celu szlachetniejszego nad każdą zapłatę. Pani serca poety ich panią się stała; pragnęliby, żeby książę ujrzał ukochane oczy, „bo maluczcy kochają się w rzeczach wielkich, bo ten szał szlachetny. którego nikt nie pojmuje, zrozumiały jest dla prostaczków.“

Jeden z przyjaciół księcia, nabliższy jego sercu, Bertrand d'Allamanon, przerażony postępami niemocy poety, usiłuje pocieszyć Rudela, który przyćmionem okiem błądzi po morzu i wygląda owego Tripolisu gdzie kwitnie cudowny kwiat ideału.

Oto jutrzenka... Mgły rozproszyły się... Ziemia!... ląd... Tripolis wynurzyło się różowe od blasków wschodzącego słońca, witane radosnymi okrzykami marynarzy.

Ale książę tak jest osłabiony, że nie będzie mógł wylądować; Bertrand zatem przyrzeka mu odnaleść królewnę i przyprowadzić ją na galerę, żeby umierająby mógł przed śmiercią napoić swe oczy jej widokiem. Gdyby Rudel skonał przed powrotem przyjaciela, czarna flaga na maszcie oznajmi o tem Bertrandowi; dopóki zaś biała flaga, symbol nadziei powiewać będzie na rei, poseł uważać ją winien za znak, że poeta jeszcze oczekuje na swoją ukochaną.

Drugi akt przenosi nas do pałacu królewny. Oczekują na nią pątnicy, gwarząc o jej piękności. Ukazuje się wreszcie Melisanda; z jej ust dowiadujemy się, że i ona myśli także o tym trubadurze z Zachodu, który ją w pieśniach swoich wysławiał. Królewna ma zostać żoną cesarza, lecz nienawidzi przyszłego małżonka, bo jej nie rozumie, a na straży cnoty swej narzeczonej zostawił rycerza w zielonej zbroi, rodzaj legendowego smoka. Tajemnicza wieść jednak ostrzegła księżniczkę, że trubador jej jest już wdrodze. Czeka więc drżąca jego przybycia, które nagle głos rogu zdaje się zwiastować.

— To on! — woła królewna, przypatrując się z okna jak rycerz przedostał się przez pierwsze straże, jak wszystko przed nim pierzcha, jak rozpoczął zapasy z pilnującym wrót olbrzymem.

— Śmiało, wierny trubadurze!

I rzuca mu przez okno białą szarfę z okrzykiem:

— Przynieś ją czerwoną!

Scena, mimo, że ją znamy z „Córki Rolanda“, śliczna jest i ma w sobie poetyczny nastrój, który na widza porywająco oddziałać musi.

Wtem, otwierają się drzwi i ukazuje się w nich Bertrand raniony, z mieczem w jednej ręce, z zakrwawioną szarfą w drugiej. W młodzieńczym porywie rzuca się do nóg Melisandy, a na zapytanie królewny, coby miał jej do powiedzenia:

— Wiersze! — odpowiada.

Efekt sceniczny jest zapewnie z góry obmyślony; ale nie odbiera mu to charakteru rycerskiego i nie pozbawia polotu, który dotąd unosił niekiedy widza w krainę średniowiecznej baśni.

Od tej chwili jednak zaczynamy coraz bardziej oddalać się od wieków średnich. Już w drugim akcie dają nam do myślenia „nerwy“ królewny i słowa jej wygłoszone do pielgrzymów: „Treścią mego życia jest kochać i nie znać przedmiotu kochania, żałować i nie mieć wspomnień o tem, czego się żałuje.“ Już wtedy zastanawia nas ona filozofją przyszłego małżeńskiego pożycia, w którem żona obiecuje sobie „rozkoszami ironji wynagradzać oddalenie dusz“. Teraz rozsnuwa się przed nami wątła nić wyrafinowanej, subtelnej psychologji, w której połapać się nie łatwo.

Królewna, przekonana, że odważny rycerz jest oczekiwanym trubadurem, przykrego doznaje zawodu, dowiedziawszy się, że ma przed sobą posła. Ukochała już zwycięzcę olbrzyma, choć myślała o tamtym, umierającym z tęsknoty do nieznajomej. Waha się więc, chwieje między dwomą uczuciami, między białą flagą, którą widzi, a czarną, której lęka się zobaczyć; gdy zaś szlachetny Bertrand, po męskiej walce z samym sobą, uchyla się od jej miłości, Melisanda daje się przez chwilę owładnąć chęci doprowadzenia Bertranda do złamania wiary przyjacielowi, obiecując sobie stąd rozkosz „jakiej doznawać musi każda kobieta, wieżąca w objęciach Oresta, który wie, że Pylades od tego uścisku kona“.

Szydło modernizmu widoczne tu jest dla każdego, a wynurza się ono jeszcze wyraźniej w chwili, kiedy zwrot psychologiczny, nasuwający myśl, że królewna z za morza musiała czytać Bourget'a, popycha ją ostatecznie ku galerze umierającego Rudela.

Czwarty akt byłby bardzo piękny, gdyby nie niepokojąca, a zgoła nie średniowieczna zagadka duszy Melisandy. Królewna przybywa na pokład w całym majestacie swej piękności, promienna aureolą poezji i na klęczkach odbiera ostatnie tchnienie poety, złożywszy pocałunki na oczach, które jej tylko obraz do grobu z sobą unoszą; na ustach, które jej imię w natchnionych wymawiały strofach. Dusza trubadura unosi się na falach melodji, przynoszącej mu z po za świata rajskie echa, i ulata w przestrzeń wraz z bijącemi z kadzielnic woniami; a na wyżynach, gdzie rozpływają się w nicość i dźwięki i wonie wraz ze wszystkiem, co ziemskie, bierze ją na niepokalane skrzydła modlitwa zakonnika-ascety.

Ile było szczerości, prawdy w tem ukorzeniu się królewny przed idealną miłością, a ile miłosierdzia kobiety, która oddała umierającemu klejnoty swej duszy, z tem samem może uczuciem, z jakiem królowa rozdała marynarzom drogie ze swoich szat kamienie, — tego nie wyjaśniają ani ostatnie słowa Melisandy, wyrzeczone do Bertranda, ani jej postanowienie zamknięcia się w klasztorze na górze Karmelu.

I ta niepewność, zakłóca harmonję wrażeń, które w całości nie dają tego artystycznego użycia, jakiego dostarczają obficie pojedyncze momenty pięknego i bądźcobądź bogatego w poezję dzieła.

W każdym jednak razie, jak już na wstępie wspomniano, jestto dzieło niepowszednie i warte bliższego z niem zaznajomienia się.

Przekładu dokonał wcale poprawnie p. Londyński.

I. K.

SONET.

Lato — a wietrzno, zimno, jakgdyby w jesieni...
Tylko pożółkłe liście swych tanów nie wiodą,
Nie unosi się widmo śmierci nad przyrodą,
Ani się wkrąg latorośl winna nie czerwieni...

Zbóż łany, aż przemokłe od deszczu strumieni,
Chylą się, jakby każdy kłos był ciężką kłodą...
Jakiś smutek przenika wskróś naturę młodą...
Wieśniacy z pól wracają senni, zniechęceni...

Nie słychać wron krakania na przydrożnem drzewie,
I nie ciągną żórawie w dal po niebie bladem —
A tylko wiatr chwilami, jakby w nagłym gniewie,

Wstrząsnąwszy gałęziami i liści koroną,
Ze szklanym szmerem, na zwiędłą murawę zieloną
Posypie niespodzianie dżdżu kroplistym gradem...

Wiktor Dzierżanowski.

ADAM KRAJEWSKI

AMOR VIXIT.

Nowela.

Ciąg dalszy.

Po raz pierwszy zaczął się teraz zastanawiać nad tem, co uczynił. Od pierwszej chwili, gdy zapałał namiętnością ku uroczej Malwinie, ani mu w głowie nie postało, ażeby miał przezto wyrządzić krzywdę swej żonie. Dlaczego takie uczucie się w nim zrodziło, dlaczego go coś niepowstrzymanie parło ku tamtej, niezdawał sobie aż do dziś sprawy. Czy jednak on, dając folgę namiętności ku Malwinie, sam był tylko winowajcą? Nie. Przecież — myślał sobie w duchu i tłumaczył się sam przed sobą — gdyby nie ona pierwsza zaczęła, byłby nigdy nie ośmielił się do niej blizko przystąpić. A więc ona go wyzwala i kosekwencję tego, co się potem wywiązało winna była sobie sama przypisać. Przecież on był mężczyzną młodym, gorącym; głupim byłby, gdyby pogardził był stosunkiem przelotnym, którego byłby mu niejeden w położeniu jego się znajdujący, zazdrościł. Czy powinien był sobie tak bardzo brać do serca wyrzut Malwiny, że nie jest zdolnym niczego dla niej poświęcić. Alboż mało jej już poświęcił? Wszak od paru tygodni nie miał ani dnia, ani nocy spokojnej, żyjąc w ustawicznej obawie, ażeby się Nina czego nie domyśliła. Udawało mu się dotąd kłamać przedziwnie i jeżeli z początku posądzał Ninę, iż tylko udaje że niczego się niedomyśla, co do jego z Malwiną stosunku, to z biegiem czasu był przekonany, że cała ta sprawa obcą jest dla Niny, a dopóki ona się o niczem nie dowie, dopóty byłoby wszystko dobrze. Coby było, gdyby się tak o wszystkiem dowiedziała? — Albin czuł, że musiałoby przyjść do jakiejś katastrofy, którąby rzuciła cień

na całe jego dalsze pożycie z żoną. A kto wie nawet, czyby Nina z nim nadal żyć zechciała?

Na myśl o tem, dreszcz przebiegł ciało Albina. Byłożby to istotnie możliwe, ażeby Nina miała go porzucić? Nie wyobrażał sobie życia bez niej. Tak przyzwyczaił się do niej, tak mu z nią dotąd było dobrze... A jednak gdyby Nina, dowiedziawszy się dokładnie o stosunkach jego z Malwiną, żyć z nim nie chciała, nie po jej stronie byłaby wina zerwania, podczas gdy żądanie postawione przez Malwinę, stawiało go w podwójnej pozycji winowajcy: jako wiarołomcy i jako tego który daje pierwszy powód do zerwania związku.

Myśl w ogóle już nie o zerwaniu związków małżeńskich, ale choćby jakiemkolwiek oziębieniu uczuć dla Niny, odrzucał Albin z góry. Ani mu przez myśl nie przeszło zmienić się dla żony. Trochę lekkomyślny, sądził, że nie naruszając bynajmniej miłości i obowiązków względem żony, będzie się mógł cieszyć także względami Malwiny. Pochlebiało mu to bardzo, a widząc z samego początku, że się zanosi na rzecz wcale łatwą, wmówił w siebie, że musi dojść do celu i upokorzyć w objęciach swoich tę dumną pannę. Co potem?.. Ach! — czyż on się kiedykolwiek zastanawiał w tej sprawie, czy w ogóle potrafił się zastanowić, żyjąc w ustawicznej gorączce od czasu, gdy się wdał w tę grę, w której trafił na partnera, o całe niebo od niego zręczniejszego, bo nie znał wprzódy dobrze Malwiny

Postawiła mu też wczoraj takie zagadnienie do rozwiązania, którego on za żadne skarby świata rozwiązać by nie chciał. I teraz dopiero, dopiero od wczorajszego wieczora, stanęły mu jasno konsekwencje lekkomyślnego puszczenia się na bystre wody miłostek z taką przebiegłą i mściwą, jak Malwina, kobietą.

Miał czasu dość do namysłu, bo sen uciekał z powiek, jakby mu go kto zdmuchiwał. Rozumie się, że postanowił skończyć stanowczo z tą całą sprawą; nie chciał już więcej widzieć się z Malwiną, wyrzekał się wszystkiego z góry i nawiasem mówiąc, bardzo wiele ona straciła na uroku w oczach Albina, gdy poczęła doń przemawiać, rozsądnie. Dla dyszącego namiętnością kochanka, rozsądne słowa z ust przedmiotu jego ubóstwienia płynące, są tak doskonałym środkiem na ostudzenie choćby jak potężnego zapału miłosnego, że działają o wiele lepiej od oziębłości lub nawet obojętności. Rozsądne tedy słowa, jakie Albin od Malwiny usłyszał, podziałały na niego tak uspokajająco, tak go co do uczuć Malwiny dla niego potrafiły rozczarować, że litować się począł nad swoją głupotą i pytał w duchu sam siebie, czy nie za wielką była stawka, którą w tej grze postawił, czy Malwina wartą była choć części poświęcenia tej Niny, która gdyby była na jej miejscu, z wszelką pewnością byłaby coś takiego jak ona — rozwodu z żoną — za warunek nie stawiała.

Nie znał planów Malwiny, nie badał ich, ani o nich nie myślał. Nie wiedział, że on miał być tylko narzędziem w ręku Malwiny dla zemsty nad Niną; że na tej szachownicy odgrywał poprostu małą rolę pionka. To też zdawało mu się, że gdy jej nic nie odpowiedział, gdy przyjść się nie obiecywał i od jego woli zależeć będzie, czy się kiedykolwiek jeszcze przed nią zjawi, że sprawa już zakończona i o jedno mu tylko jeszcze się rozchodziło, o to, ażeby wycofać się z całej tej afery z honorem i nie narazić się na wzgardę Malwiny...

A więc chodziło mu o to, aby się na jej wzgardę nie narazić. Dziwne! — Coby mu było z tego, czy ona nim pogardza, czy nie? — Wszak tylko dwoje: on i ona o tem wiedzieć mogą. Czy mu co na tem mogło zależeć, że ona nim gardzić będzie? — Wszak raz już, gdy się ongi o nią starał, pogardziła nim przecie, a mimoto pogodził się z tem — ożenił się nawet. Właśnie teraz, gdy go jedna, jedyna na świecie kobieta obchodzić powinna — żona — co go obchodziły gniew lub pogarda Malwiny? — A jednak byłoby mu — czuł to — bardzo przykro, gdyby na nim miało pozostać piętno niedoszłego lowelasa, który gonił za łatwą zdobyczą i sromotnie został pobity. Upokorzenie takie, gdyby istotnie miało miejsce, dźwigałby na sobie, jak ciężar nieznośny. Możeby więc lepiej było, żeby nie drażnić tej obrażonej lwicy, tej ambitnej Malwiny zanadto, ułożyć to jakoś tak wszystko, ażeby choć zdala i pozornie pozostać przyjaciółmi, dobrymi znajomymi wreszcie. W jaki to sposób miało i mogło być wykonane, o tem Albin ani nie wiedział, ani nie starał się wymyśleć; pragnął to pozostawić czasowi, który mu kiedyś podda myśl dobrą i wtedy przystąpi do jej wykonania. Obecnie, gdy ochłódł i gdy z góry był przekonany, iż na warunkach postawionych przez Malwinę, stosunek z nią nie da się utrzymać, nie wyobrażał sobie całej sprawy tak bardzo tragicznie jak wprzódy; był nawet na poły wyleczony z namiętności, niemożliwej do zaspokojenia i wróciła mu dawna swoboda; odetchnął i oddał się cały na usługi Niny, jakby jej wynagrodzić chciał te dni, które ukradł jej poprostu, goniąc za marą uśmiechów czarnookiej dziewczyny-czarodziejki.

Pewnym był nawet, że i sama Malwina, której planów nie znał, uznała niemożliwość dalszego stosunku z Albinem, i równie jak on wybiła go sobie z głowy. Było to bardzo możliwem; znał ją przecież z dawniejszych czasów i wiedział, że lubiła zmieniać wielbicieli, jak rękawiczki. Być może, że i zapomniała o nim i nie ma już do niego nietylko nienawiść, ale nawet urazy o to, co między nimi zaszło.

Tydzień minął od tego wieczoru, gdy był sam na sam z Malwiną, a dni tych nic Albinowi nie zamąciło. Ażeby się przypadkiem nie spotkać z jej zwrokiem nęcącym, gdy wychodził na miasto, starannie unikał ulicy, przy której jego niedoszła kochanka mieszkała. Wolał obejść dalej, kawałeczek drogi nałożyć, byle być od niej jaknajdalej. Istotnie udało mu się nigdzie nie spotkać Malwiny. Jednak dało mu wiele do myślenia zachowanie się ciotki Malwiny, na którą się raz zupełnie przypadkowo natknął. Szedł właśnie ku domowi, gdy z za węgła ulicy nadeszła stara panna, widocznie z kościoła wracająca, bo trzymała w ręku książkę do nabożeństwa.

Albin byłby rad ciotkę wyminął, ale byłoto niemożliwem do wykonania w obec tego, że szedł prawie naprost niej. Uchylił więc grzecznie kapelusza, ale zamiast spotkać się z uprzejmym uśmiechem ciotki, jak to dawniej bywało, poczuł na sobie zimne, niemal pogardliwe spojrzenie starej, która oddawszy mu sztywny ukłon głową, pośpiesznie przeszła koło niego, jakby się obawiała, by jej nie wstrzymał i nie przemówił do niej.

Mimowoli oglądnął się za ciotką i zamyślił głęboko, — A więc ciotka wie o czemś, lub się czegoś domyśla — mruknął sam do siebie — Czyżby Malwina sama? — Ale nie, źleby to o niej świadczyło, gdyby otwarcie przyznała się do stosunku z żonatym mężczyzną. A jednak nieinaczej, tylko że musi wiedzieć o wszystkiem.

Spotkanie to przypadkowe, ale które mu wiele dało do myślenia, rzuciło cień na jego spokój w domu. — A więc scena z przed tygodnia, nie pozostała tajemnicą saloniku Malwiny; wie o niej jeszcze ktoś więcej, cóż dziwnego, gdyby się o tem Nina dowiedziała. Byłaby to ładna historja, — pomyślał Albin — gdyby ciotka, jak zwyczajnie stare panny,

puściła w obieg wiadomość, która wywarłaby prawdziwą senzację w salonach stolicy.

Atoli obawa Albina w tym kierunku była próżną, Stara panna ciotka, nietylko że nie była usposobienia gadatliwego, a mniej jeszcze skłonna do plotek, ale ponadto, rozejrzawszy się w sytuacji, skoro tylko spostrzegła dziwne miny służby przywołała ją do siebie i pod groźbą natychmiastowego wydalenia, zakazała wyciągać jakiekolwiek wnioski z wizyty Albina u siostrzenicy. Zabezpieczywszy tym sposobem sławę domu przed językami ludzkimi o tyle, o ile to było możliwe, czekała na sposobność, aby raz jeszcze wybadać Malwinę, czy nie zechce ponowić przyjęcia Albina u siebie.

Ale Malwina, choć niewiele sobie robiła z perorowania i napomnienia lub uwag ciotki, uznała wreszcie sama, że za ryzykowny to krok, jaki zamierzała sobie uczynić, przynajmniej na teraz. Opinję nie można tak odrazu wyzywać, choćby się było jaknajpewniejszym swego. Trzeba ją należycie przygotować, ażeby dalsze konsekwencje czegoś przyjmować bez obawiania się lub zbytniego zaciekawienia.

Po przemówieniu się z ciotką i rozważeniu wszystkiego, przyszła do przekonania, że należy przedewszystkiem dać Albinowi czas do zastanowienia się nad tem, co mu powiedziała. Wiedziała przecież, że gdyby nawet Albin żony nie kochał, gdyby dlań była całkiem obojętną — a tak przecież wiedziała, że nie było — musiał się namyśleć, liczyć się wreszcie z opinją świata, i szukać wreszcie powodów do zerwania z Niną...

Ta myśl o zerwaniu, o zakłóceniu spokoju na zawsze dwojgu ludziom, nawet jej samej poczęła się wydawać po głębszym namyśle tak monstrualną, że zdziwiła się samej sobie, dlaczego taką alternatywę Albinowi postawiła. Tłumaczyła się w duchu pragnieniem zadowolenia zemsty, wmawiała w siebie, że obrażona jej duma wymagała koniecznie takiego zadośćuczynienia, ale na dnie jej sumienia budził się przecież wyrzut, który jej stawiał przed oczy niegodziwość takiego postępku. — Daleką była wprawdzie jeszcze od myśli zupełnego zerwania nawiązanego z Albinem stosunku, nie miała zamiaru zaniechania zupełnego bałamucenia go, ale przypomniawszy sobie i słowa ciotki i zachowanie się Albina, gdy mu nie całkiem wprawdzie jasno, ale zrozumiale żądanie swoje postawiła, żałowała, że się zanadto wówczas dała unieść namiętności i że za wiele powiedziała.

Następstwem tych rozmyślań było, że przy spotkaniu się z ciotką, nazajutrz przy śniadaniu, nie miała jakoś odwagi spojrzenia jej śmiało w oczy. Stosunek obu kobiet do siebie wywiązał się jakiś nieszczery; zrozumiały się obie doskonale, aby miały raz jeszcze sprawę tę poruszać. Ciotka nie badała jej więcej, Malwina nie mogła się zdobyć na tyle czelności, aby módź zaprzeczyć temu co było już aż nadto widocznem i zaprzeczyć się nie dawało.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Wiadomości artystyczne i literackie.

Nieznanych utworów Moniuszki cały kajet odznaleziony w Wilnie, — staraniem p. Łucjana Uziębły, tudzież sekcji warszawskiej imienia Moniuszki, przechodzi na własność tej ostatniej. Dotychczasowa właścicielka tego niezmiernie ważnego i ciekawego zbiorku nut, p. Marja Jakubowska, siostra dra Juljana Titiusa, serdecznego wileńskiego przyjaciela Moniuszki, otrzymała kajet niegdyś od matki żony jego Marji z Zakrzewskich Millerowej. Jest w kajecie kilkanaście kompozycyj autora „Śpiewników", a pochodzą z epoki 1837—40 roku, ofiarowane zaś zostały przezeń narzeczonej, jak to wyraźnie widać z tytułów utworów, ich układu, wreszcie wycisku na grzbiecie oprawnego tego seksternu: Souvenir i A. M. (Aleksandra Millerówna). Są tam trzy pieśni nieznane, z tych jedna rzewna, prześliczna; są w kajecie i rzeczy taneczne i kawałki muzyczne, są piorwociny talentu, są i rzeczy wyborne; niektóre utwory podpisane autografem mistrza.

W Wodewilu warszawskim wystawiono onegdaj po raz pierwszy sztukę Jeske-Choińskiego pt. „Sara Weisblut" Sztuka ta cieszyła się prawdziwem powodzeniem. Szczególniej podobał się akt trzeci z wielce efektowną sceną sądu kahału. Autora wywołano kilkakrotnie. Teatr był wysprzedany.

W Moskwie cesarska opera rosyjska wystawi wkrótce operę Moniuszki „Halka"

W Edynburgu pod Rygą daje przedstawienia operetka polska pod kierownictwem pani Adolfiny Zimajerowej. Przedstawienia jej cieszą się wielkiem powodzeniem.

Koncert daje w Warszawie, znakomity nasz skrzypek, Tymoteusz Adamowski, bawiący stale w Bostonie w Ameryce, gdzie jest dyrektorem tamtejszego konserwatorjum.

Treść: Franciszek Mirandolla — *W Samotni* (Poezje-prozą); G. Verga — *Tygrysica* (Powieść — c. d.); I. K. — *Z Poezji nowoczesnej*; Wiktor Dzierżanowski — *Sonet* (Wiersz); Adam Krajewski — *Amor vixit* (Nowela — c. d.); *Wiadomości artystyczne i literackie.*